

Na podstawie piosenki Hemp Gru - 63 dni chwały

Maryna wbiega do domu hałaśliwie, postukując bucikami. Jasnożółta sukienka, przemoczona od porannego deszczu, okleja jej ciało. Sklejone w strąki czarne włosy opadają długim łukiem na plecy. Jedno spojrzenie na jej twarz, na rozchylone w uśmiechu usta, błysk w oczach, którego nie widziałem od miesięcy i już wiem. Ale informacja, która u mnie wywołała mdłości do tego stopnia, że z trudem przełknąłem talerz zupy i kromkę chleba, które przed wyjściem przygotowała mama, u niej wywołała trudną do ukrycia ekscytację.

Na ułamek sekundy przymykam oczy. Moja mała siostrzyczka. Przez moment chcę jej zabronić, powstrzymać, przykuć do kaloryfera jeśli trzeba, ale wiem, że to na nic. Oboje jesteśmy uparci. Uśmiecham się więc, pragnąc żeby wyczytała w tym dumę. Trudną, bolesną, ale dumę.

Oboje wiemy. Ale wymogi konspiracji, nawet teraz, na pięć sekund przed końcowym starciem, wiążą nam usta. Wmuszam więc tylko w nią talerz zupy i pakuję kawałek chleba na drogę.

- Muszę znowu wyjść - przez moment Maryna znowu jest niepewna, może boi się sceny? Ale mamy nie ma w domu, a ja nie mam prawa jej powstrzymać, gdybym nawet chciał.

Patrzę na zegar i z westchnieniem podnoszę się od stołu. Mamy rozkaz stawienia się na szesnastą, czyli za pół godziny. Ja z plecakiem, Maryna z przewieszoną przez ramię torbą, zbiegamy prawie po schodach. Jej spieszno już do swoich, już myśli tylko o tym, co będzie za godzinę, a ja nie chcę długich pożegnań. Pod kamienicą całuję ją w czoło, czego od dawna już nie robiłem i szepczę jej do ucha "powodzenia". Odpowiada mi uśmiechem, tym błyskiem białych zębów, który u wszystkich chłopaków wywoływał szybsze bicie serca. I idziemy w przeciwnie strony.

Dzień był parny, ale pochmurny, pokropiwało z przerwami od rana. Przyspieszam kroku, nie mogę się spóźnić i czuję na plecach gęsią skórę na widok znajomych mundurów. Pod murami, usiłując nie zwracać na siebie uwagi, przemykają się postacie z plecakami, zrolowanymi kocami. Przez chwilę pozwalam, żeby i mnie udzieliła się radość, którą widziałem w oczach Maryny. Ale zaraz ogarnia mnie przerażenie. W moich oczach zdawać by się mogło, że całe miasto stanęło do mobilizacji. Jeśli Niemcy się zorientują...

Ale już, nie ma czasu na rozmyślanie, kapitan Jan czeka, melduję się szybko i staję za Kołczanem. Wyglądamy z bramy, czekając nie wiem czego. Nagle słyhać warkot, Kołczan zwraca ku mnie rozjaśnioną twarz. Po raz pierwszy zwracam uwagę na jego lewe ramię, na dwukolorową opaskę. Coś ściska mnie w gardle.

- Ciągnik! Ciągnik jedzie! - Kołczan krzyczy w głąb bramy w momencie, gdy naciągam na koszulę swoją opaskę.

- Uwaga! - słyszę krzyk, ale w tej chwili nie bardzo wiem, co się dzieje i pierwsza eksplozja zaskakuje mnie do tego stopnia, że cofam się o kilka kroków i o mało nie ląduję na ziemi. Z nowej pozycji widzę Bonawenturę na pierwszym piętrze, który uderzeniem pięści rozbija szybę i ciska granat.

- Zadra! - staję przed Morro na baczność. Nigdy tego nie wymaga, ale choć jest starszy ode mnie tylko o trzy lata, jest w nim coś co wzbudza szacunek.

- Idź z Kołczanem i Alkiem na róg Mireckiego i Okopowej. Czekamy na wóz policyjny.

Dostaję stena i biegnę za pozostałą dwójką. Nie czekamy długo. Klekoczący, złowrog, tak dobrze nam znany odgłos samochodu zbliża się szybko. Duża, zielona paka skrywa około piętnastu Niemców. Kołczan unosi rękę i nagle ją opuszcza, wrzeszcząc na cały głos:

- OGNIA!

Hałas i chaos. Pandemonium. Kilku Niemców zeskakuje z wozu i biegnie przez dziurę w płocie wyrwaną wcześniej granatem Bonawentury, reszta pada na ziemię. Jakiś błysk zwraca moją uwagę i w tej chwili serce mi zamiera. Biała sukienka przepasana czarną szarfą i sznurowane buciki, które dostała na gwiazdkę od rodziców... Nie zauważyłem Hani po zameldowaniu się, nie mieliśmy okazji zamienić nawet dwóch słów - a teraz widzę, jak nie bacząc na ostrzeliwujących się żandarmów biegnie zgięta w pół i wrywa karabin z zakrwawionych rąk Szwaba. Pierwsza zdobycz, karabin których zawsze za mało, ale przede wszystkim nic jej się nie stało, już chowa się za ciężarówką. Przez ułamek sekundy chcę odetchnąć z ulgą i wtedy Dorota, biegnąca za Hanką, drży jakby zmagnięta biczem i pada na uliczne kamienie. Na jasnej bluzce wykwita ciemnoczerwona plama, powiększająca się z każdą chwilą.

- Musimy zbudować barykadę! - syczy Kołczan. Razem z Zadrą bierzemy Dorotę za ramiona i biegniemy do fabryki. Zadra ma niewyraźną minę. Nie znamy Doroty za dobrze, ale mimo wszystko, nasza, pierwsza ranna, jeśli nie liczyć pokaleczonej od wybitego okna dłoni Bonawentury, i - dziewczyna. Młoda, młodsza ode mnie. I ładna, blondynka z długim warkoczem. Ile ich jeszcze padnie w kolejnych dniach?

Nie chcę o tym myśleć, boję się zgadywać. Zaczęliśmy za wcześnie, wystarczyło parę minut żeby połała się krew. Ile minut jest w trzech dniach?

Przekazujemy omdlałą w sprawne ręce sanitariuszek i biegiem wracamy na ulicę.

Zza chmur nieśmiało wyjrzało pałace, sierpniowe słońce. Spojrzałem na zegarek.

Siedemnasta minut pięć.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

lina_91, dodano 22.09.2012 20:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.